

Biblioteka

Główna

UMK Toruń

25

829811

WIOSNA BEZ GRANIC.



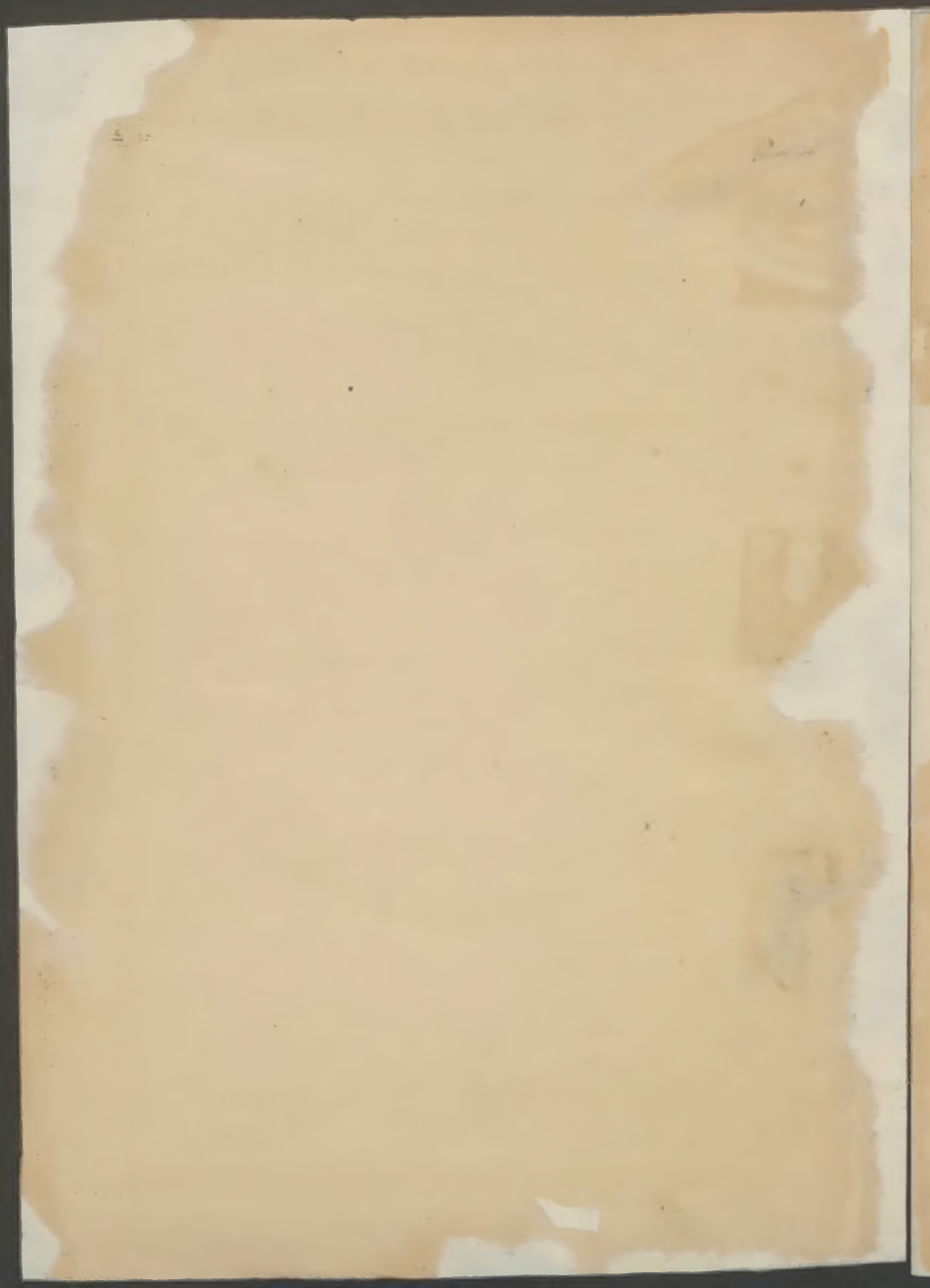
Przystawie Dramatyczne w jednym
Akcie.

NAPISAŁ

LEON KAPLINSKI.



CHICAGO, ILLINOIS.
DRUKIEM I NAKŁADEM WŁ. DYNIEWICZA.
1899.



307609

Ufność bez Granic.

Przysłowie Dramatyczne w jednym Akcie.

NAPISAŁ

LEON KAPLINSKI.

CHICAGO, ILLINOIS.
DRUKIEM I NAKŁADEM WŁ. DYNIEWICZA
1898.



829811

Ds 52/2001

O S O B Y:

ROMAN.

ANNA, jego żona.

RODRYG.

SŁUŻĄCY.

(Rzecz dzieje się w mieście.)

(Pora wieczorna. — Scena przedstawia salon, z którego jedno drzwi prowadzi do pokoju Romana, drugie do pokoju Anny. — Roman wychodzi od siebie, trzymając w ręku poszyt Revue des deux Mondes i stuka do drzwi żony.)

Roman.

Czy można?

Anna (za drzwiami.)

Zaraz kończę się ubierać i wychodzę za chwilę.

Roman.

O nie spiesz się wcale, mogę ci i przez drzwi zrobić moje przedstawienie.

Anna.

Jakie przedstawienie?

Roman.

Wszak jeśli się nie mylę, to umówiłaś się z ciotką, aby pojechać na dzisiejszy wieczór do Dziedzickich.

Anna (zawsze ze swego pokoju.)

Ale bynajmniej — wcale się z nią o to nie umawiałam.

Roman.

A!... bo wystaw sobie, ja się czuję tak jakoś źle usposobiony i żadną miarą nie mogę ci towarzyszyć na ten niefortunny wieczór.

Anna (wchodzi raptownie w stroju balowym, kończąc zapinać bransoletkę:)

Żartujesz sobie, mój kochany Romanie! — doprawdy, tym razem nie pozwolę na to. Powiedzianoby, żeś od pewnego czasu wziął sobie za zasadę, aby niegrzeczności robić w kole naszych najbliższych znajomych. Proszą nas na obiad do Państwa Adamów, wysyłasz mnie nań i sam nie przychodzisz. W Białowoli, gdzie dla nas tacy grzeczni i uprzedzający — noga twoja jeszcze nie powstała. Romijam, już, że co poniedziałek obiecujesz pójść ze mną do prezesostwa i że jeszcze ani jednego poniedziałku nie miałam szczęścia być tam w twojem towarzystwie...

Roman.

Ale moja Anno, ten raz tylko...

Anna.

Nie, nie mój drogi. Zresztą będę z to-

bą szczerą — tu nietylko o względy towarzyskie chodzi, ale chodzi też trochę o moją własną przyjemność a nawet i o moje osobiste dobro. Być może, że są kobiety, którym to dogadza, gdy się mogą puszczać w świat bez mężów, ale co do mnie, to mam ci honor oświadczyć, że rola samotnej, opuszczonej, choćby wielce interesującej małżonki, wcale mi do gustu nie przypada. Nie masz wyobrażenia na jakie rozdrażnienie nerwów jestem za każdym razem wystawiona, gdy przy wejściu do któregoś z naszych salonów posypią mi się w uszy zapytania. — A gdzież to P. Roman? — Czy mąż Pani cierpiący? — Czy mąż Pani tak bardzo zajęty?... Ta odwieczna Księżna Teresa czatuje na mnie wszędzie ze swym odwiecznym i niezmiennym się nigdy frazesem: *Et ce cher Comte il n'est done jamais visible?* Wreszcie Pani Laura, która także bez męża przez świat się przesuwa, tylko że z innych jak ja powodów... ta Laura, której żadną miarą znieść nie mogę, coraz milej się do mnie od pewnego czasu uśmiecha, z coraz większym spótczuciem za rękę mnie ściska, jakby mi poznać dawała, że ona lepiej jak ktokolwiek połozenie moje rozumie.

Roman (*wzruszając ramionami.*)

Cóż cię to wszystko obchodzić może!

Anna.

To wszystko zaczyna mnie w nieopisany sposób drażnić i nudzić, a temu wszystkiemu tylko ty koniec położysz, jeśli chcesz być taki miły, taki kochany, jak to kiedyś, kiedyś bywało, i zwłaszcza jeśli towarzyszyć mi będziesz na dzisiejszy wieczór.

Roman.

Ale moja najłaskawsza, ukochana i gorąco kąpana Anno. Wierzaj, że jeśli ci na ten wieczór nie towarzyszę, to nie przez żaden kaprys, ale dla tego, że mam swoje powody.

Anna.

Ciekawam, jakie powody? proszę, powiedz mi choć jeden?

Roman (*nieco zakłopotany.*)

Są w życiu ludzkim chwile...

Anna (*przerywając.*)

W których rozsądni i prawdomówni ludzie uciekają się do lichych wykrętów i dziecinnych figli, aby zakryć swoją złą wolę.

Roman.

Przysięgam ci, że żadnej złej woli nie mam, ale mam po prostu wielką ochotę zostać dzisiaj wieczór w domu. Nie wystawisz sobie moja Anno, ile mi nudów i kłopotów sprowadza ten nieszczęśliwy proces z Heimbergiem...

Anna.

Zawsze tylko słyszę o tym procesie!

Roman.

Ale na miłość boską bądźże sprawiedliwą... Zaledwie oto powróciłem z sejmu: jeszcze mi ciężą na umyśle wszystkie kadasztry, serwituty, rezolucye, propinacye i drogi krajowe, o jakich się przez dwa miesiące nasłuchałem, aż oto spada mi na głowę ten nieszczęśliwy proces. Siedzę już trzeci dzień pograżony w zapleśniałych aktach i papierach sądowych! Dla rozrywki — niechaj ci Pan Bóg tego niepamięta — namówiłaś mnie na obiad do cioci kasztelanowej, gdzie mówiąc między nami, wcale zabawnie nie jest, gdzie panuje pewna atmosfera wilgoci i nudów, dająca człowiekowi katar moralny... Nie mam pięciu minut wolnych, żeby cośkolwiek dla własnej przyjemności

lub pożytku przeczytać... Zaprawdę, należy mi się w końcu małe na dzisiaj wytchnienie! Dorwałem się właśnie do ostatnich poszytów *Revue des deux Mondes*, gdzie jest bardzo interesujący artykuł polityczny Klaczki i bardzo ładny romans Pani Sand. Czytam jednocześnie jeden i drugi. Skoro cynizm i przewrotność Bismarcka zbytecznie mnie oburzą, orzeźwiam się sielankowością G. Sanda, a gdy wśród czułych pasterek francuzkiego romansopisarza zatęsknię do wilków i niedźwiedzi, to przeskakuję kilkanaście kart i powracam do polityki pruskiej. Tak przeplatana literatura bardzo mi do smaku przypadła — więc błagam cię, pozwól mi swobodnie zostać z moją *Revue* w domu.

Anna.

Dzieciństwa mi prawisz mój Romanie, a nie myśl bynajmniej, że jesteś oryginalnym. Wszyscy polscy czytelnicy umieją czytać w ten sam co ty sposób, i wszyscy Polacy mają zwyczaj mieszać politykę z romansami.

Roman (który już chciał odchodzić.)

Ta uwaga zaszczyt ci przynosi i można by dodać, że nasza polska polityka...

Anna.

Oh! tylko nie wchodźmy na pole wad i przywęg narodowych, boby to nas za daleko zaprowadziło. Nie odbiegajmy od przedmiotu i zakończmy dyskusję. Ponieważ okazało się, że nie masz ważnego i istotnego powodu do zostania w domu, więc racz pomyśleć o swem ubraniu, na co ci wspomniałomysłnie przeznaczam 20 minut czasu.

Roman (*załamując ręce.*)

O mojem ubraniu! Chcesz, żebym się ubierał? ale moja biedna Anno, kiedy o ubraniu mowy być dla mnie nie może!

Anna.

Cóż to za nowy wykręt?

Roman.

Posłuchaj i bądź pobłażliwą... zaczytany w moją Revue, ze zbliżającym się zmrokiem poczułem, że chwila stanowczej decyzji nadchodzi, że trzeba albo zdobyć się na bohaterstwo ubrania się we frak i białą krawatę, albo też mieć odwagę i oznajmić ci, że do pójścia na ten wieczór żadnej nie mam ochoty. Walka była bolesna ale krótka. Uprzytomniłem sobie w wyobraźni

wszystkie przyjemności, jakie mnie na o-
wym festynie czekają: ścisk, gwar, gorąco;
ekspozycja biustów kobiecych nie ulanych
wedle miary Fidyasza, jałowość rozmów,
przenikliwy śpiew Panny Celiny i przewrot-
na polityka gospodarza domu. Na perspek-
tywę takiej pańszczyzny, stałem się jako
człowiek upadający pod brzemieniem nie-
szczęścia, to też upadłem jak długi na ka-
napę, gdzie właśnie mój Filip rozłożył wszy-
stkie przybory toaletowe, zacząwszy od fra-
ka i kapelusza, aż do białej krawaty...

Anna.

Czy nie mógłbyś skrócić twego opowia-
dania?

Roman.

...Upadek mój musiał być gwałtowny,
ruchy, z jakimi się na ową kanapę rzuci-
łem, musiały być energiczne, może zresztą
sam nie wiedząc, z pewną lubością gnio-
tłem te szaty godowe... dość, że kiedym
powstał z kanapy, aby zapalić świecę, mój
frak, moja najpiękniejsza kamizelka zbite
w kłębek u nóg mi leżały, — *gibus* przy-
brał fantastyczne kształty, a na dobitkę rzu-
ciłem przez rozgarnienie niedopalone cyga-

ro w leżącą na ziemi białą krawatę. (*Anna zżyma ramionami i przebiera palcami z niecierpliwością.*) Wiem co mi powiesz na to. Powiesz mi, że szkodę naprawić łatwo i że drugą krawatę odnaleźć nietrudno... wszystko to być może... ale co chcesz moja Anno, kiedy ja w takich drobnych rzeczach przesądny jestem. Wielcy mężowie starożytni, ludzie Plutarcha, nie byli wolni, jak ci wiadomo, od tej słabości. Ja w tym błahym napozór fakcie widzę jakoby ostrzeżenie z góry i od godziny słyszę wyraźnie głos wewnętrzny, który mi mówi: "Nie idź dziś na wieczór do Dziedzickich." Teraz kiedyś ci z naiwnością i ufnością dziecięcą wypowiedział wszystko, pozwól mi powrócić do siebie.

Anna.

Mężowie mają różne sposoby robienia swym żonom naprzekor — bo nazywam robieniem naprzekor, ile razy nie czynicie załość rozsądnym i słusznym wymaganiom naszym. Są między wami tacy, co umieją powiedzieć *nie* i to w pewien sposób odejmujący wszelką do opozycyi ochotę. Ty mój Romanie do tej kategorii nie należysz.

Nie masz odwagi być tyranem, więc jesteś liberalnym; twe dyspotypyczne dążenia osłaniaasz kwiatami fantazyi i dowcipu, rzucasz mi w oczy złoty piasek paradoksów, a zachowując pozornie liberalne formy, pozwalasz niekiedy jak *n. p.* w obecnej chwili na wolną dyskusyę. Lecz ta dyskusya wykryła właśnie całą słabość tych argumentów, i wykazała jasno, że mam słuszne i bardzo ważne powody żądać od ciebie byś mi na dzisiejszy wieczór towarzyszył.

Roman.

Czy wolno wiedzieć, jakie są te bardzo ważne powody, bo ja dotąd nic o nich nie słyzałem.

Anna.

Wszak ci powiedziałem odrazu z całą szczerością, że sobie nie życzę i że nie lubię występować w świat sama. Poprzestań na tym jednym powodzie i nie badaj więcej, bo są rzeczy, które najpotulniejsza żona niechętnie nawet najwyrozumialszemu mężowi powiada...

Roman.

Ale które najwyrozumialszy mąż, jeśli

ma nieco bystrości, sam odgadnąć powinien.
Nieprawda?

Anna.

Być może; odgaduj, jeśli chcesz. I owszem. Nic nie mam przeciw temu.

Roman.

Kobiety lubią być odgadnięte, ale tylko w pewnych wyjątkowych rzeczach... W innych znowu nie cierpią, by ktoś uchylał zasłony, i nie przebaczą nigdy temu, co je odgadnie. Zadanie dla zgadującego drażliwie. Pomylić się łatwo, a nuż się pomyłę?

Anna.

Więc bez zgadywania, posłuchaj mej rady i idź się ubierać.

Roman.

Wolę zgadywać... Znam kobietę obdarzoną i wszystkimi przymiotami duszy, i całym urokiem niewieścich powabów. Jest ona szanowaną i cenioną w świecie tak, jak na to przez swe zalety i cnoty zasługuje. Nie dość na tem, mogłaby ona zbierać obfity plon owych hołdów i sukcesów, na jakie najuczciwsze kobiety obojętnymi nie są, al-

bowiem wielbicieli różnego wieku i gatunku krążą około niej roje, a gdziekolwiek się w towarzystwie ukáže, słyhać jakoby przyspieszone serc bicie i szmer westchnień tłumionych. Podobne tryumfy nie zawracają bynajmniej owej kobiecie głowy, lecz budzą w niej jedno gorące, choć zaprawdę dziwaczne pragnienie — oto chciałyby ona także mieć męża swego ciągłym i nieodstępny m owych tryumfów świadkiem!

Anna (żywo.)

Jesteś nieprzyjemny i bardzo złośliwy, mój Romanie. Krążysz około prawdy, umyślnie jej nie tykając, aby mnie drażnić i wyszriać trochę... A zresztą choćby istotnie tak było jak mówisz, czyliż owa kobieta (której urok i powaby szydlerzo przesadasz) — czyliż owa kobieta nie miałaby prawa domagać się przytomności i pomocy męża w pewnych śliskich przejściach, które koniec końców obchodzić tego męża powinny? Czyliż owa kobieta uchodząca jeśli nie za opuszczoną, to za zaniebaną żonę, ma czekać aż który z owych wzdychających na żarty czy na prawdę, przekroczy granicę przyzwoitości i odważy się wybąknąć coś

na kształt wyznania swych uczuć... jak to się już raz prawie że zdarzyło?...

Roman.

A ba!... już się raz zdarzyło! No, proszę.... Inny mąż na mojem miejscu zapalałby gniewem i żądał od ciebie natychmiast nazwiska owego zuchwalca, — ale ja, wystaw sobie, nawet po takim wyznaniu spokojny jestem, niewzruszony i zemstą wcale nie pałam.

Anna.

Ten spokój zaszczyt ci przynosi, lecz jeśli sobie żartować ze mnie myślisz, to lepiej zakończmy tę rozmowę.

Roman.

Żartować z ciebie, moja najdroższa Anno! o nie! — na to się nie ważą, ale zaprawdę, jakże chcesz abym brał na seryo twoje obawy i przypuszczenia. Właściwie nawet nie wiem o co ci chodzi.... Czy życzysz sobie aby cię podejrzywał, śledził i szpiegował? Czy pragniesz mnie na śmieszność wystawić?

Anna (*nieco rozdrażniona*).

Otóż mój Romanie dotykamy drażliwego punktu, na którym porozumieć nam się

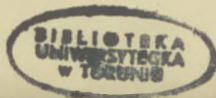
trudno, bo wy mężczyźni pojmujecie i uznajecie tylko takie niebezpieczeństwa, gdzie wasz bezpośredni interes, gdzie wasza miłość własna dotknięte lub zdrażnione być mogą. I doprawdy, trzeba być chyba już bardzo płochą i bardzo zalotną, aby czujność waszą i troskliwość obudzić, a dopóki dotykalnie i bijąco w oczy nie zostanieie.... zatrwożeni, to śpicie sobie "snem fabrykanta Niemca" nie troszcząc się o te rzeczy, o które my się troszczymy....

Roman (*nieśmiało*).

Być może, że czasem znów o zbyt mało!....

Anna.

O zbyt mało! Wiesz mój drogi, że życie uczciwej kobiety ma źródło swe we wnętrzu duszy, że tam ono się skupia, rozwija bez innych świadków prócz Boga: że do tego to wewnętrznego świata my kobiety zastosowujemy prawidła uczciwości i honoru, któtymi wy mężczyźni kierujecie się w świecie zewnętrznym, w towarzyskich stosunkach i to o ile wam z tem wygodnie. Ta kobieca wewnętrzna uczciwość, ten honor, co jest owej uczciwości kwiatem, i ta



delikatność, co jest owego kwiatu najsubtelniejszym pyłkiem, nie lubią być wystawione na pewne próby i hazardy. To też dla tego wołałabym chodzić w świat nie sama, ale oparta na twojem ramieniu....

Roman (*zrywając się z krzesta*).

Co za anielska kazuistyka! co za kryształowe skrupuły! Ach, jak te Polki wszystko subtylizować umieją! o, liliom najczystszy i różom najbielszym głowy przed wami uchylić. Życie wewnętrzne.... pogoda duszy.... prawidła honoru! Prześlicznie! cudownie moja Anno.... gdy słyszę z twych ust takie rzeczy, to mi się wydaje, że ci błękitnie skrzydła wyrastają z ramion i że mi ulecisz w sfery, w które za tobą podążyć nie zdołam. Ależ moja anielska pani, ponieważ żyjemy na ziemi i ponieważ w tej chwili mówimy o bardzo realnych, bo o światowych i towarzyskich stosunkach, więc trzeba rzeczy brać realnie i trzeźwo je sądzić. Znam ja trochę świat i znam na wyłot tych wszystkich paniczów, co to niby wzdychają czule, i których afekta wy nieraz bierzecie na seryo. Więc z ręką na sumieniu mogę Cię zapewnić, że żaden z nich

nie jest w stanie zakłócić spokoju *takiej jak by kobiecie*. Bywają oni niebezpieczni tylko tam, gdzie łatwe dla siebie przewidują zwycięstwo, bo ci wszyscy don Juany i Lowelasy nasi są najczęściej bardzo nieśmiali i bardzo leniwi; a skoro ich kobieta sama nie ośmieli, skoro ich swą sztuką niewieścią sama nie pociągnie, to trzymają się oni wogóle na dalekiej i przyzwoitej odległości.

Anna.

Chciałbym wiedzieć, do czego to całe rozumowanie prowadzi?

Roman.

Prowadzi ono do bardzo jasnej konkluzji. Ponieważ moja anielska Anna jest jedną z najszlachetniejszych a zarazem najwykwitniejszych natur jakie znam, ponieważ jej umysł tylko ku rzeczom wzniosłym i przeczystym jest zwrócony, ponieważ umieć ona dla wszystkich być uprzejmą i uroczą, ale nigdy ani słowem, ani półsłowem, ani intencją, ani cieniem intencji nie jest w stanie ośmielić nikogo, więc szczęśliwy mąż takiej wybranej i wyjątkowej istoty, nie tylko może spać spokojnie, ale wolno jest owemu mężowi bez wyrzutu sumienia wieczór

dzisiejszy w domu pozostać. Kobieta albowiem tego rozumu i tej moralnej wartości, co ty moja Anno, potrafi zawsze bez niczyjej pomocy utrzymać się na wysokościach, do których męty światowe wcale nie dochodzą. Oto jest moja konkluzya, która, mam nadzieję obrazić cię nie może a przekonać cię powinna (*zabieru się do odejścia*).

Anna.

Nie mogę się pochlubić ani tem doświadczeniem, ani tą przenikliwością, jakie ty posiadasz i jakimi nademną górujesz; lecz zdaje mi się, że rozumowanie twoje jest z gruntu fałszywe, choć wybornie dogadza twojemu egoizmowi i twojemu lenistwu. Wynałazłeś sobie teorię dającą się może zastósować do kobiet zalotnych i goniących za awanturami, ale o niebezpieczeństwach grożących kobietom przyzwolitym pojęcia nie masz i niebezpieczeństw tych nie rozumiesz. Ja zbijać twoich wywodów nie myślę, powiem ci tylko, że żona przywiązana do męża i uczciwa, właśnie dla tego że uczciwa, może mimo wiedzy i woli obudzić w sercu honorowego człowieka, co z tuzinkowymi don Juanami nic wspólnego

niema, uczucie czyste i prawdziwe, uczucie tem głębsze, że bez przyszłości i nadziei. Ach mój bystrooki i przenikliwy Romanie, gdybym tylko chciała, tobym może znalazła bardzo bliski i przekonywający przekład, któryby cię zmusił do zmienienia niektórych twoich przekonań!

Roman (*pocierając sobie czoło*).

Hm, hm! zdaje mi się, że z pola teoryj ogólnych, schodzimy w tej chwili do kwestyi czysto osobistej. Jeśli się nie mylę, to masz tu na myśli kuzyna twego Stefana, który to Stefan oświadczył się o twą rękę spólcześnie ze mną i dwukrotną odmowę otrzymał. Utrzymują niektórzy, że ma on serce od owego czasu zranione, czemu się bynajmniej nie dziwię, i że ci wiernym w uczuciach pozostał, co uważam za prawdziwe dla niego nieszczęście. Wiesz dobrze, że ja wielce szanuję Stefana, naprzód dlatego, że jest on człowiekiem wysokiej moralnej wartości, a potem, jeśli mam prawdę powiedzieć, i dlatego, że moja miłość własna bywa na jego widok przyjemnie głaskana. Oto — mówię sobie w duszy — takiego człowieka, takiego feniksa miałem za ry-

wala i przecież pierwszeństwo nad nim otrzymałem! To są jedyne uczucia, jakie we mnie obudza Stefan, a rozumiesz moja Anno, że jeśli nie trwoży mnie taki groźny i niebezpieczny rywal jak on, to bez obawy patrzę na innych drugorzędnych twych wielbicieli jak *np.* na tkliwego i wyblądłego Rodryga.

Anna (nieco zmieszana).

A! to raczyłeś zauważyć Rodryga i kogo jeszcze? Bardzo cię proszę!

Roman.

Ja uważam i notuję sobie wszystkich ilu ich tam jest, ale do niebezpieczeństwa dla ciebie, ani do niepokoju dla siebie żadnych powodów nie dostrzegam. I gdyby tobie, co jesteś kobietą niezdolną do małostek, przyszła kiedykolwiek ochota zazdrość we mnie obudzić, to cię uprzedzam, że na Otella materyału we mnie ma. Ów "smok zielonooki, brzydzący się trawą jaką oożera" ów smok, na którego się skarżył czarny Desdemony kochanek, nigdy w piersiach mych nie zamieszka i nigdy, przysięgam ci, ani okazały i rycerski Stefan, ani romantyczny i wymokły Rodryg spokoju mego nie zakłóca, a ten olimpijski spokój i pogoda nie

pochodzą bynajmniej u mnie z dobrego o sobie rozumienia, ale z niesłychanej, nieograniczonej i niczem niezachwianej ufności w ciebie.

Anna (*sucho*).

Ta ufność bez granic bardzo mi pochlebia, ale na dziś wolałabym twoje towarzystwo bo sama najpewniej na ten wieczór nie pójdę.

Roman.

Ale pójdziesz, moja jedyna, moja najlepsza Anno, pójdziesz i pozwolisz mi zostać w domu i gniewać się na mnie nie będziesz. Nieprawda? (*wyciąga do żony rękę, Anna się od niego odwraca i z gęstem nieukontentowania rękę się chowa. Roman czeka chwilę, jakby się wahał, potem wolno zbliża się ku drzwiom swego pokoju i bierze za klamkę*). Mam nadzieję, że tryumfy, jakie dzisiejszego wieczora odniesiesz, lepiej cię dla mnie usposobią. Będę oczekiwał na twój powrót z niecierpliwością, a jeśli cię znajde jeszcze na siebie rozżaloną, tu u nóg twoich przebaczenie wybłagam (*odchodzi*).

Anna (*sama*).

Odszedł do siebie i postawił na swoim. O to mu też tylko chodziło.... Ach, któżby był pomyślał, że ten poetyczny, rozkochany, do średniowiecznego Paladyna podobny Roman, po trzech latach pożycia stanie się do takiego stopnia mężem, ale to mężem w najpospolitszym tego słowa znaczeniu.... upartym, ocieślałym i tak bardzo pewnym siebie. W tej pewności jego, w tym spokoju uśmiechniętym i zadowolonym z siebie, które on ufnością bez granic nazywa, jest coś, mnie w niepojęty sposób drażni.... Ach, mówiąc szczerze, jeszcze bardziej podobno mnie drażni ta obojętność i lekceważenie, z jakimi traktuje on tak zwane sukcesy moje i tryumfy. Ale bo też popełniłam podobno prawdziwy błąd polityczny, dotykając tego przedmiotu, i mam teraz takie uczucie, jakby mnie upokorzenie spotkało. Inna żona na mojem miejscu pomyślałaby o jakim małym i niewinnym odwecie, ale ja.... ja o niczem podobnem myśleć nie mogę.... ja mam wobec mojego męża i pana serce zbyt miękkie, duszę zbyt niewolniczą.... ja już w tej chwili oto martwię

się załuję, żem mu nieco złego humoru pokazała. Cóż robić. trzeba z dobrą fantazyą znieść tę drobną przykrość....

obiecowałam sobie dzisiejszy wieczór spędzić przyjemnie, a spędzę go samotnie, nudno i z jakimś niezadowolnieniem w duszy....

Roman (*uchylając drzwi do swego pokoju*).

A.... to nie odjechałaś jeszcze?

Anna (*nie odwraca się wcale do męża*).

Widzę, że ci bardzo spieszo, aby mnie się pozbyć z domu.

Roman (*zbliża się do żony*).

Dla czego mi przypisujesz intencję, której bynajmniej nie mam. Nie pragnę wcale pozbyć się ciebie z domu, ale owszem gorąco pragnę: abyś się na tym balu rozerwała i zabawiła.

Anna.

Popsułeś mi tę rozrywkę twoim uporem i odjąłeś ochotę do wszelkiej zabawy.

Roman (*przyglądając się zbliżona toalece żony*).

Jak prześlicznie jesteś uczesana.... te perły we włosach cudownie się wydają.... podziwiam istotnie ten wdzięk z jakim umiesz zastosować się do wymagań mody, zachowują jednak ową wykwitną prostotę która.... która.... (*Anna ironicznie się uśmiecha*) i tak tunika ukazująca się w obłokach z gazy istotnie czarodziejskie sprawia wrażenie. Wszak to się nazywa tunika?

Anna.

To się nazywa małą nikiemnością mój łaskawy Romanie prawie mi komplementa o mojej toalecie, która ci jest zupełnie obojętna, na którą nie zważasz nigdy, a którą w tej chwili chwalisz, aby połechtawszy moją próżność kobiecą z domu mnie wyprowadzić. Nie sil się na admirację mojej tuniki — wiem jak cię to wiele kosztuje, ale wróć spokojnie do twego cygara i twej lektury — nie myślę ci zakłócać tych rozkoszy i kłaniam uniesienie (*odchodzi do siebie*).

Roman (*sam*).

Odchodzi rozdrażniona na dobre i gotowa zostać w domu. Ale bo też wyprowa-

dziła mnie na takie pole, gdzie mąż musi albo z powagi swej coś uronić, albo mimowolnie żonę sobie narażić. O zaprawdę, te nasze Polki są jedynie w swoim rodzaju. Najlepsze i najrozumniejsze z nich chcą gościć i łączyć nie daje. Pragnęłyby przesunąć się przez najżywszy płomień światowych pokus, nie osmalając sobie seraficznych skrzydeł i zachowując całą nietykalność swej cnoty; mają duszę roztopioną w Bogu, ale z ojczyzna wlepionymi w niebo, lubią łykać dym ziemskich kadzideł i rade choć zdaleka napawać się wonią zakazanego owocu—a co najciekawsze, że do pełnego kosztowania tych wszystkich rozrywek duchowych i mniej duchowych potrzebują koniecznie uwielbienia, aprobacyi i ciągłej obecności męża! bo mężów swych kochają, tę sprawiedliwość trzeba im oddać (*słucha pod drzwiami żony*) nie.... nie odjechała, widać że na dobre zostaje w domu. To zmienia położenie rzeczy i psuje cały mój program.... Co za szkoda. Usadzić się na cały wieczór przy domowym ognisku, doskonałe paląc cygaro i z zajmującą książką w ręku doczekać się w błogim spokoju powrotu najwierniejszej żony, jest samolubną mo-

ze. O takim to Edenie marzyłem na dzisiaj i marzenie moje prysło jak bańka mydlana! Zamiast owej rozkosznej siesty, czeka mnie tutaj w tym salonie wieczór, który mi nic przyjemnego nie wróży. Anna zadraśnięta nieco w swej miłości własnej przybierze przynajmniej na pół godziny lodowatą postać. Herbata domowa będzie wodnista i rozmowa przy niej także, Pojechanie w końcu nastąpi, ale cóż z tego, kiedy marzony przezemnie Eden rozwiął się w nic i wrócić doń niepodobna. W obecnem położeniu rzeczy i wybierając z dwojga złego, kto wie czy nie lepiej zdobyć się na poświęcenie i towarzyszyć żonie na ów nieszczęsny wieczór (*patrzy na zegarek*). Jeszcze wcale nie późno. W kwadrans będę ubrany i podam zdziwionej Annie moje ramie, przybrawszy twarz szczęściem promienną. Takim sposobem uniknę chłodnego i ambarasującego sam na sam, a zarazem będę miał w jej oczach zasługę. Tak... to jest jedyna droga jaka mi zostaje. Pożegnajmy egoistyczne szczęście przy domowym kominku i chodźmy się ubierać (*wychodzi*). *Po wyjściu Romana staje we drzwiach służący, a nie widząc w salonie nikogo, idzie do pokoju Anny i srnka*).

Służący.

Pan Hrabia Rodryg się pyta czy pani przyjmuje?

Anna (*stojąc we drzwiach swego pokaju*).

Powiedziałeś naturalnie, że mnie niema w domu.

Służący.

Nie — bom nie wiedział jak mam mówić i powiedziałem, że pani jest u siebie.

Anna.

To w takim razie prosić (*wchodzi do salonu i siada na kanapie*).

Anna, Rodryg.

(*Rodryg z kapeluszem pod pachą i z wielkim bukietem w ręku. Widać człowieka zmieszanego i nieśmiałego, który sili się na pewność siebie i na sztuczną odwagę.*)

Rodryg (*klaniając się*).

C'est moi Comtesse.... to ja.... śmiem się pojawić.... przepraszam.

Anna.

To bardzo grzecznie i łaskawie ze stro-

ny pana. Proszę siadać. Ach, co za przepyszny bukiet!

Rodryg (*wręczając bukiet*).

Czy Pani przyjąć go zechce?

(*Anna bukiet odbiera i ukłonem głowy zań dziękuje*).

Rodryg.

Zapewne Pani przypomnieć sobie raczy zakład, jaki do niej wczoraj przegrałem. Aby się uiszczyć z przegranej, miałem do wyboru, albo cukierki, albo kwiaty. Wahałem się chwilę, ale przypomniawszy sobie dzisiejszy wieczór, pomyślałem, że jeśli Pani przyjmiesz te biedne kwiaty... jeśli je podczas tego wieczoru w rękę twem ujrzę, to będzie dla mnie... ach!...

Anna (*przerwywając*).

Lubię bardzo cukierki, ale za kwiatami przepadam, a ile razy te słodkie lub woniące trofea zbierać mi się zdarzy, to nam na myśli angielskiego poety, który utrzymuje, że w hierarchii społecznej my kobiety zajmujemy miejsce właśnie między cukierkami a kwiatami. Jesteśmy prawie tak

powabne jak kwiaty. Ta definicya zresztą nie wydaje mi się bardziej upokarzającą od tylu innych jakie na nas wymyślono.

Rodryg.

Ach, Pani, ja na taką definicyę nigdy bym nie przystał. Mnie wydaje się ona prostem bluźnierstwem i oburza mnie w najgłębszych tajnikach duszy.

Anna.

O! bo Pan musisz mieć lepsze o kobietach, pojęcie, to zaraz widać..., Czy dawno jak Pan widziałeś Panią Kasztelono.

Rodryg (*jak gdyby ostatniego pytania nie słyszał*).

To jest ja wogóle o kobietach żadnego nie mam pojęcia; bo dla mnie, śmiem powiedzieć, jedna tylko w świecie istnieje kobieta, a ta kobieta w hierarchii istot tak wysoko jest umieszczona, że zaledwie się wazę wznieść do niej biedną myśl moją... (*Anna która trzymała bukiet w ręku, kładzie go obok siebie*)a jednak ta myśl wciąż za nią goni, oderwać się nie da.... czuję, że jestem jej sługą, jej rzeczą, jej niewolnikiem na wieczność całą....

Anna (do siebie).

Hm, hm.... Rodrigue a du coeur.

Rodryg (Zapalając się coraz bardziej)

Życiebym wolał stracić, jak ją obrazić, ale daremno ze sobą walczę. Jest jakaś siła tajemna co mnie popycha do nóg tej kobiety i głos się z piersi wyrywa błagalny.... O! Pani pozwól mi ubóstwiać ciebie.

Anna (która podczas ostatnich słów powstała z siedzenia).

Wygrany wczoraj zakład pozwolił mi ze spokojnem sumieniem przyjąć pański bukiet. Pan chcesz do tego już i tak wspaniałego bukietu, dodać coś, co się podobno w języku romansowym deklaracją zowie.... Uprzedzam Pana, że przyjąć ten zbytkowy dodatek bynajmniej się nie czuję obowiązującą...

Rodryg.

Ach, Pani, przysięgam, że nie chciałem wystąpić z tych granic, w jakich najgłębsza cześć jaką mam dla Pani trzymać mnie zawsze będzie. Jeżeli miałem nieszczęście obrazić lub rozgniewać....

Anna.

Nie umiem powiedzieć czyś mnie Pan obraził, nie zdaje mi się przecież byś mnie Pan rozgniewał. Dla zakończenie całej sprawy powiem Panu rzecz jedną. Oto przed kilku chwilami człowiek dla którego mam najgłębsze przywiązanie i najwyższy szacunek — mogę go Panu wymienić, bo to mój mąż, otóż przed chwilą mój mąż utrzymywał mi, że tylko kobietom zalotnym i płochym trafie się posłyszeć to, czegom ja o mało że nie posłyszała. Twierdził on dalej, że kobieta przyzwoita ma coś w obejściu i zachowaniu się całym takiego, co uniepodobnia pewne ze strony panów manifestacye. Więc teraz nie wiem co mam pomyśleć. Uważam się za kobietę przyzwoitą a nawet dość uczciwą.... byłam dla Pana zawsze przyjazną, to prawda, ale nigdy ośmielającą....

Rodryg (*wzdychając z głębi piersi*).

O Pani!...

Anna.

....I oto Pan, który przecież za honorowego i przyzwoitego człowieka uchodzisz, popełniłeś przedemną ni ztąd ni z owąd dość wyraźną i wcale ognistą deklaracyę.

Rodryg.

Ach Pani, zlituj się nademną, straciłem zupełnie głowę, nie byłem panem siebie...

Anna.

To małe, chociaż nie zupełnie niewinnie... przedstawienie jakie pan zaimprovizowałaś tutaj, daje mi gotowy argument przeciw mojemu mężowi i nie wiem czy wytrzymam, aby mu nie odpowiedzieć całego wydarzenia... ma się rozumieć bezimiennie.

Rodryg (*zrywa się, jakby chciał odchodzić*).

Pani jesteś bez litości i zabijasz mnie tym tonem szyderstwa i pogardy.

Anna.

Na dowód że z Pana nie szydę, nie gardzę i że owszem chcę z panem zachować przyjazne i towarzyskie jak dawniej stosunki, pozwolę sobie dać Panu małe zlecenie. Pojedziesz Pan zaraz na wieczór do Dziedzickich — znajdziesz Pan tam Ciżbę Kasztelanową, która na mnie czeka, powiesz jej, żeś był u nas, że ja już byłam na wieczór wybraną, ale że mąż mój niezupełnie dobrze, się czuje, a choć niema najmniej-

szego powodu do niepokoju, ja w takich rzeczach wolę przy nim pozostać. Powiesz Pan to wszystko Kasztelanowej, z prośbą, aby mnie przed gospodynią domu wytłumaczyła. Nieprawda, że Pan to dla mnie uczynisz? (*Rodry się kłania*). Ale mój debry Panie Rodrygu, nie popadnij Pan w recydywę, bo na recydywę byłabym bez litości i musiałabym się pogniewać na dobre. Zastanów się Pan nieco. Spotykamy się najmniej pięć razy na tydzień w towarzystwie -- znany się od lat tylu.... pomyśl Pan tylko, jakby to było śmiesznie i nieprzyjemnie, gdybyśmy się dąsać na siebie mieli....

Rodryg.

Pani jesteś aniołem (*kłęka*) pozwól mi na klęczkach błagać o twe przebaczenie, pozwól mi u nóg twoich....

Anna (*żywo*).

O zlituj się Pan.... proszę wstać zaraz, nie mogę znieść widoku klęczącego mężczyzny....

(*Podczas ostatnich słów Rodryga wychodzi ze swojego pokoju Roman całkiem zajęty zawiązywaniem krawaty*).

Roman.

Otóż i tym razem węzeł się wcale nie udał, trzeba jeszcze raz próbować. (*Staje przed zwierciadłem wiszącym tuż obok drzwi*

z których wyszedł i widzi w lustrze kłęczącego na ziemi Rodryga, który na gest Anny zrywa się i wychodzi).

Roman, Anna.

(Roman przybiega szybko do żony, chwytając ją silnie za rękę i puszcza, posem biegnie ku drzwiom jakby za Rodrygiem i od progu wraca)

Roman.

Mam nadzieję, że mi dasz wytłumaczenie...

Anna.

Wytłumaczenie czego?

Roman *(tłumiąc wybuch najgwałtowniejszego gniewu.)*

Co znaczyła scena jaką tu w tej chwili widziałem *(chwytając żonę za rękę i silnie nią wstrząsa)*. Co robił tu kłęczący Rodryg?

Anna.

Mój Romanie, przed chwilą prawiłeś mi wiele o kolosalnej, nieograniczonej ufności we mnie — przed chwilą, zaklinałeś się, że nic nie zdoła zakłócić tego spokoju w jakim się na tak zwanych wielbicieli moich zapatrujesz, a teraz mówisz do mnie tonem i używasz gestów *(wrywa mu rękę)* które ani ufność bez granic, ani delikatności nie dowodzą.

Roman (*z wzrastającym gniewem*).

O! nie zartuj i nie doprowadzaj mnie do ostateczności.... czy chcesz żebym się ludzi zapytał (*idzie ku drzwiom*).

Anna (*ustrzymuje go spojrzeniem i gestem*).

A nie, tego nie zrobisz, ale zapanujesz nad sobą chwilę i wysłuchasz mnie.... wszak ja tak cierpliwie słuchałam niedawno twoich historyjek ...

Roman.

Nie zagaduj mnie próżnemi słowy.... słuchać cię będę, skoro mi powiesz co tu robił Rodryg....

Anna (*stanowczo patrząc mężowi w oczy*.)

Ale ja proszę i żądam, abyś mnie pięć minut posłuchał, potem zrobisz ze mną co zechcesz. Racz przypomnieć sobie, że w dzisiejszej rozmowie naszej, otworzyłam ci całą moją duszę, że ci napomknęłam, choć mnie to kosztowało trochę, o pewnych obawach moich, być może, przesadzonych, ale zasługujących byś je wziął pod uwagę.

Ty zbyłeś to wszystko półzartem, traktując mnie jak dziecko, albo jak lalczkę drewnianą. To też po twojem odejściu miałam serce nawskróś żalem ściśnięte, zdawało mi się bowiem, że mnie już wcale nie kochasz. (*Roman podczas słów Anny daje oznaki wiel-*

kiej niecierpliwości i wewnętrznego wzburzenia). Słyszałam nieraz że jest jakiś duch dobry opiekujący się specjalnie pokrzywdzonymi żonami. Otóż w ucisku moim wezwałam owego ducha na pomoc i rzekłam doń: "Miłosierny i usłużny duchu, spraw swoją sztuką czarno-księżką, aby jeden z tych panów których mój mąż tak lekceważy, ukazał się tu nagle w moim salonie, wybierz któregokolwiek z nich, wszystko mi jedno — i rzuć postać jego do mych nóg — niechaj mój mój tę złudną postać zobaczy, aby przynajmniej jedną chwilę jego pycha, jego zarozumiała pewność skruszonymi zostały." Duch mej prośby wysłuchał i wybrał nie wiem czemu Rodryga.

Roman.

Na Boga, daj pokój niewczesnym żartom, bo nie znasz mnie i nie czujesz jakie piekło mam w duszy (*pada gwałtownie na kanapę i siada na zostawionym tam bukiecie, który porywa do ręki*). A to co? zkad tu ten bukiet?

Anna.

Zapomniałam ci powiedzieć, że prosiłam mojego ducha, aby ów klęczący cień pojawił się przedemną z bukietem w ręku.

Roman (*rzucając bukiet na ziemię*).

Po raz ostatni mówię ci, nie igraj ze mną, bo sam nie wiem co się ze dzieje, ale mam szaloną ochotę tak jak te kwiaty rzucić się pod nogi i deptać (*depce bukiet w najgwałtowniejszym gniewie*).

Anna (*chyląc się prawie mężowi do kolan*)

Ach jakiś ty piękny w tej chwili mój Romanie.... takim cię widzieć pragnęłam, choćby na jedną sekundę (*kłaszcze dłonie z dziecinną radością*). Więc kochasz mnie jeszcze mocno, gwałtownie, namiętnie, jak dawniej? więc stoisz jeszcze o mnie? A teraz dość żartu, mój jedyny, najlepszy mężu; przebacz, udobruchaj się i posłuchaj całej prawdy. Rodryg z powodu dzisiejszego balu przyniósł tu bukiet za przegrany do mnie zakład. Zakład ten wczoraj przy tobie był zawarty i wiem, że o tem doskonale pamiętasz, bo sam się zakładać chciałeś. Potem ów Rodryg bez żadnego powodu zaczął do mnie gruchać nieco.... romansownie. Ja nabrałam go z góry, może za bardzo. Zmieszany, a jak wiesz, lubiący dramatyczne sytuacje, nadszedłeś.... Oto jest wszystko, cała naprawdziwsza prawda, a teraz podaj mi ręce i patrz mi w oczy tak zbliżona i śmieć powiedzieć, że cię nie kocham i śmieć powiedzieć, że nie wierzysz moim słowom, mojemu przywiązaniu bez granic.... (*Ro-*

min, który miał cały czas głowę w dłoniach ukrytą, podczas ostatnich słów Anny podnosi oczy na żonę, podaje jej ręce z rozrzewaniem i znać że to co słyszał uspokoiło go zupełnie).

Roman.

Przywiązanie bez granic istnieje może.... I w tej chwili pragnę, potrzebuję w nie wierzyć, ale ufność bez granic jest czymś i niedorzecznym frazesem, którego już nigdy z ust moich nie usłyszysz.

Anna.

O mój najmilszy, jedyny Romanie, mówiąc między nami to mnie o tę ufność nigdy zbyt często nie chodziło i wolę już od biedy byś mnie kochał bez ufności, niż żebyś mi ufał nie kochając.

Roman (całując żonę w rękę i wstaje).

Ha! oddycham nareszcie... Bogu dzięki, że ta piekielna zmosfera przestała mnie dławić!... a teraz powiedz mi, jakże będzie dzisiejszym balem — ja jestem gotów, widzisz, ale zwracam twoją uwagę, że mój frak zgnieciony nieco a mąż od krawaty wcale się nie udał.

Anna.

O! jeżeli mąż się nie udał to lepiej zostanę w domu.

Biblioteka Główna UMK



300040498421